

Wieczór tego samego dnia
Alkierz we dworze

– To proste, rybeńki – mówił, a raczej grzmiał Piotr z Ossy Oźga. – Tak, dobrze mówię! Proste, że łatwiejsze już być nie może. I dziwię się, że muszę wam to do łbów jakoby cepem przekładać. Odnajdziecie waszego stryja albo jego potomków. A potem podzielę majątności nieboszczyka stolnika między was wszystkich tak, aby nikomu nie stała się krzywda! Zapamiętajcie: nie stała krzywda! O czymże mam jeszcze z wami gadać?

– Skąd masz waszmość pewność, że Michał żyje? – zareplikował niespeszony Przeclaw. – Stryj był starszy od ojca o dzieśnięć lat jak w mordę strzelił. A mówiąc prawdę między oczy, to nikt tak naprawdę nie wie o ile. Bo nie ma zapisów w księgach we dworze ani w parafii.

Były zapisy, pomyślał Jacek, ale nie przyznał tego na głos. Były, bo niejedna karta z datami została wydarta albo zagubiona. Ksiądz Fabrycy nie wiedział z jakiego powodu. Teraz powód był znany aż za dobrze, podobnie jak to, dlaczego nie mieli żadnego portretu stryja. I ani jednego listu czy wzmianki. Ta przeszłość, te papiery i konterfekty zanadto bolały starego ojca.

– Tak więc nie ma pewności, czy stryj żyje. A już w ogóle czy miał jakichś potomków. Nie licząc może paru bęsiów zostawionych na przychówek w chłopskich chatkach. Ale – Przeclaw podniósł na starostę złe i mściwe oczy – któż ich nie ma, a od posagów i spadków odpadają wedle konstytucji Anno 1578: *Illegitima proles non hereditat* ²⁹, foliał 189 alias 334. Nasze prawo z poddankami swawolić, a ich dni w polu odrabiać.

– To, o czym mówisz, mości Przeclawie, to zwykła ruja, grzech i porubstwo. Tak, dobrze mówię: porubstwo! Czy oddajesz się waszmość bez przerwy chędożeniu, że nie możesz się powstrzymać, aby nie wspominać o nim w obecności starszych i godniejszych osób? Ba, osób? Dygnitarzy! I starostów! Powtórz: nie możesz?

29 łac. – Nielegalne potomstwo nie dziedziczy

– Nie mogę. – Tym razem Przeclaw uciekł spojrzeniem na bok. Może wpatrywał się w rząd portretów panów Dydyńskich, których wzrok wydawał się tego wieczora dziwnie szyderczy.

– Jeśli wasz stryj nie żyje, winniście dostarczyć mi dowody na to, rybeńki. Tak: dowody to rzecz najważniejsza. I nie musisz, kochaneńki, rozumieć tego dosłownie. Nie trzeba mi głowy waszego stryja. Starczy świadectwo, ekstrakt z ksiąg grodzkich albo inny dokument, w którym stoi, że nobilis³⁰ Michał Dydyński mortuus est³¹. Albo świadectwo sześciu świadków.

– Sześciu... świadków? – jęknął Przeclaw. – Przecie to nie jest sprawa o naganę szlachectwa. Dlaczego sześciu?

– Bo jednego albo dwóch zbyt łatwo jest przekupić, rybeńko. A musisz wiedzieć, kochaneńki, że ja nie będę prowadził z wami dysputy w kancelarii ziemskiej w Sanoku. Tak: nie będę gadał o aktach sądowych, ale o testamencie. Albo zatem, kochanku, przedstawicie mi Michała Dydyńskiego lub jego dzieci, względnie dowód, że nie żyje i potomstwa nie miał, albo... – Cień jego palca zawisł nad Przeclawem jak katowski miecz.

– Albo co, mości panie starosto?

– Albo nie wcielę w życie postanowień testamentu. Tak jest: nie podzielę włości między was, dopóki ostatnia wola nieboszczyka nie zostanie wykonana.

– Absolutnie?

– Absolutnie i nieodwołalnie, rybeńko.

– Jednak wola naszego ojca jest niewykonalna – rzekł Jacek powoli i spokojnie, aby przypadkiem nie rozdrażnić starosty. – Miłościwy panie, zlitujże się nad nami nieszczęsnymi! Nam nie idzie o to, aby łamać ojcowskie postanowienia. Sam bym chętnie zaraz ruszył szukać stryja i stryjowskich braci, wszelako jest pewien szkopuł, wielki jak góry Bieszczadu. Jak same Tatry zapewne... Otóż nie wiemy, gdzie ich szukać.

– Jak to gdzie, rybeńko? W Moskwie.

30 łac. – szlachetny

31 łac. – umarł

– Tośmy się właśnie dowiedzieli. Ale powiedzcie mi jeszcze, mości panie Piotrze, jak ich znaleźć tam na miejscu?

– Znaczy w Moskwie?

– Tak.

– Aaaa – powiedział jedno krótkie słowo starosta. I sam pokręcił głową, popukał się w czoło. Otworzył gębę, ale zaraz ją zamknął.

– Moskwa, proszę waszmości, to nie jest Gdańsk, Wiedeń czy Norymberga albo Wrocław, gdzie mogę jechać zaraz, choćby jutro. Kto tam pojedzie, ten już nie wraca. Bo jeśli bez carskiego przyzwolenia przekroczy granicę, tam zaraz pachołkowie biorą go w dyby, a potem knutom, knutom i dawaj w tiumru! A jeśli przeżyje, gnają go w łańcuchach na kraj świata, tam gdzie terra incognita³². I gdzie się kończy mapa.

– A więc nie chcecie, rybeńki, zmasać winy ojca? Nie chcecie pozbyć się odium, które obciąża wasz ród? Wolicie, aby do końca życia mawiano o was w karczmach: Dydyńscy, krwią stryja splamieni? Patrzcie – dobrze mówię! – jak wydumali, jak wysrubowali się do góry za wioski, co ich rodzic, pan stolnik, przejął zdradą od własnego brata! Naprawdę chcecie, aby tak o was powiadano, rybeńki? Wiecie, kto wy jesteście? Wyrodni synowie! Powtórzcie: wyrodni synowie! No, słucham?

– Wyrodni synowie... – mruknął stropiony Jacek.

– Ha, dokładnie! Prosto w sedno żem utrafił. Nie chcecie wypełnić woli mego przyjaciela... Zaprawdę nie takiej się po was spodziewałem odpowiedzi.

– Nie to, że nie chcemy, ale nie potrafimy! – odparł Przecław. – Jak mamy znaleźć stryja Michała? Toż łatwiej by nam było wykupić go z tatarskiej albo tureckiej niewoli. Są bracia minoryci w Stambule, są karaimowie w Czufut-Kale. Od nas Lipki listy piszą, na Krym jeżdżą – można wywiedzieć się, albo i samemu pojechać. A jak znaleźć kogoś w Moskwie? Poczta słać zapytania? Ale poczta jeno do Krakowa, Lwowa i Wilna

32 łac. – ziemia nieznaną

dochodzi, a dalej: pisz, waść, na Berdyczów. A tu nie do Berdyczowa trzeba by pisma posłać, tylko do... Hiperborei, czyli Moskwy. Mówisz, mości starosto, nam bardzo poetycznie o hańbie rodowej. Godne to pióra Klonowica, no, może Jurkowskiego, ale w moskiewskim księstwie kajdany za poezję, tiumra za prawo, a knut carski za pastorał służą. Jak mamy tam jechać i stryja szukać? Ba, może dopiero wtedy go znajdziemy, kiedy nas razem do jednego łańcucha przykują?

– A może mamy wysłać suplikę do tego niedźwiedzia, co na Kremlu w Moskwie panuje? Tego, jak mu tam, Borysa Hodunowa? – zakpił Dydyński. – I co mu napiszemy? Ty sosied? Tyranie hiperborejski, morderco dusz niewinnych, rozbójniku srogi, wydaj nam stryja i dziatki jego, bo... No właśnie: bo co? Co mu zrobimy? Pójdziemy z Tatarami krymskimi na Moskwę?

– Wiem! – Przecław aż klasnął w ręce. – Wpiszmy do ksiąg grodzkich protestację! I wynajmijmy woźnego, aby mu pozew doręczył! Na Kremlu!

– A za asystę przydajmy mu zamiast paru szlachetków, sarniej torby i kagańca nasze wojska kwarciane!

– Był już tam u nas w halickiej ziemi – ozwał się starosta – żartowniś jeden... Dobrze mówię! – pan Marchocki, co pół powiatu pozwami zasypał. Pozwał był także cara o nieoddanie Nikiszyna, majątności, która leży jakoby w ziemi siewierskiej.

– I co się stało?

– Sprawa jest od roku, rybeńki, za każdym razem, kiedy przed ławą staje, sędzia dylację ogłasza, bo jednej strony brakuje – tegoż właśnie cara.

– Niech płaci niestanne!

– Nie zapłaci, rybeńki.

– Zaocznie go sądzić! Na wieczną infamię!

– Ja tam się z tego cieszę, rybeńki. Bo wolę już tę sprawę odkładać ad acta, niż żeby ciągle śniło mi się po nocach, że oto niespodziewanie car się zjawia w naszej trembowelskiej ziemi. Bo jak się zjawi, to niechybnie w licznym towarzystwie. A jak

już zjedzie, to nieprędko nas opuści. A wtedy będzie nieweso-
ło, rybeńko kochaneńki.

– Sami widzicie – uzupełnił Przeclaw. – Z carem nie moż-
na prawem, a żeby lewem poczynać, potrzebowalibyśmy armii.
Uznajcie tedy polubownie, że stryj nie żyje albo nie sposób go
znaleźć, i wykonajcie postanowienia testamentu.

– Nie mogę, kochaneńki. Nie mogę złamać woli mego do-
brego kompana. Rzekłem: odnajdźcie stryja albo stryjecznych
braci. I nic więcej nie powiem. Tak jest: nic nie powiem.

– Waszmość nie stoisz po naszej stronie. A wiesz dlacze-
go? – zapytał Jacek. – Właśnie, powtórz, mości panie starosto:
dlaczego nie stoisz po naszej stronie?

– Dlaczego... Co? – powtórzył zdumiony starosta.

– Dlatego, że jako opiekun masz prawo do zarządzania
naszym majątkiem i wybierania wszystkich zysków. Będziesz
przeciągał rzecz do samej swojej śmierci, a nawet jeśli przywieź-
libyśmy ci żywego i zdrowego stryja, znajdziesz jakiś sposób,
aby uznać, że to nie ten!

– To, co mówisz, rybeńko, to straszne, okrutne i bluźnier-
cze kłamstwo! – zagrzmiał starosta. – Powtórzcie mi zaraz albo
nie będę z wami więcej gadał: kłamstwo!

– Tak jest, kłamstwo – rzekł zrezygnowany Przeclaw.

– I zapamiętajcie sobie: starosta trembowelski nigdy nie
gwałci prawa. Gwałcić to wy sobie możecie dziewczki na woj-
nie. Ale nie prawo, którym – razem z obyczajem – stoi nasza
Rzeczpospolita.

– To co mamy robić?

– Jedźcie razem do Moskwy. Dobrze mówię: razem! Bo tu nie
macie czego szukać. A w dodatku ten, który zostanie, mógłby na-
brać chęci, by zając zbrojnie fortunę drugiego. I takiego musiał-
bym zamknąć do wieży! Dobrze mówię: do loży obywatelskiej
w Sanoku albo w Przemyślu. Która to loża jest dla takich obywa-
teli i panów braci, którzy prawo pospolite jak postaw sukna rąbią.

– Jechać do Moskwy? Szukać igły w stogu siana i konop-
nego powroza?

– Nie jest tak, jak się wam wydaje. Możecie przyłączyć się do... poselstwa. Albo kupców. Wejść w układy z Kozakami, co jeżdżą do Moskwy. Nie wykręcajcie się sianem, że to niemożliwe.

– Mnie się wydaje, że nie ma innego wyjścia – mruknął Przeclaw. – Mości panie starosto, już chyba nic nie wymyślimy. Ostawcie nas, proszę, z bratem, bo musimy rozważyć całą rzecz na osobności. A was prosimy na wieczerzę.

– Ha, najwyższy czas – mruknął starosta. – Pokornie dziękuję i już spieszę.

Wstał i ruszył do drzwi, które rozwarł przed nim dworski ochmistrz. Przeclaw odprowadził Ożgę, gnąc się w ukłonach. Zasunął drzwi na rygiel, przeszedł do drugich – tych prowadzących do czeladnej, i także sprawdził, czy są zamknięte od środka.

– Radź coś, brat – mruknął, kiedy zasiadł przy stole. – Albo czekamy do usranej śmierci na cud i nie mamy więcej władzy we włościach niż stary mąż nad młodą żoną, albo bierzemy sprawę we własne ręce.

– Jakie sprawy chcesz brać i w czyje ręce? Bo na ile cię znam, to na pewno nie w swoje.

– Nie chcę krakać, ale... Może naprawdę jedźmy do Moskwy? Co, brat?

– Żeby nas Moskale wzięli na postronki?

– Może zdobędziemy glejt?

– Pojadę nawet do Sambułu. Ale nie tam. W Carogrodzie żaden obcy przybysz nie będzie wadził sułtanowi, a co najwyżej pospólstwu. W Moskwie nikt, kto wjedzie w jej mury, nie może opuścić gościnnego dworu. Tak mi mówili kupcy bractwawscy, którzy jeżdżą nad granicę.

– Znalazłem inny sposób, brat.

– Jaki?

– Jest w Koronie Dymitr Iwanowicz. Samozwaniec, carzyk, jak mówią jedni. Prawdziwy carewicz – jak gardłują drudzy. Powiadają, że to syn Iwana, tyrana i okrutnika, co spustoszył pół Moskwy. Przyłączmy się do niego.

– Ja tam nie wiem, do kogo chcesz się przyłączyć, bracie. Do szalbierza i awanturnika, który zbiera w Koronie hultajstwo i swawolników na swoją prywatną wojenkę gdzieś na pograniczu? Taki z niego carewicz jak ze mnie cesarz grecki!

– Ale ty go przecież znasz.

– Jak to znam?

– Spotkałeś się z nim pod Bachorzkiem. I uwolniłeś z więzów...

– Skąd wiesz o tym?! – zakrzyknął Jacek. – Świrski ci znowu powiedział?

– Nie tylko. Cała ziemia sanocka o tym gada. Ludzie cara Borysa chcieli go porwać. A ty ubiłeś ich wszystkich.

– A tak. Tą ręką – Dydyński rozczapierzył palce – sześcioręciem. Co mówię sześcioręciem – dwunastu ich było!

– Za ten ratunek Dymitr powinien obdarzyć cię łaską, brat. Jedźmy więc i przyłączmy się do niego. Za jedno mi, czy to carewicz, czy czart, bylebyśmy dzięki niemu dostali się do Moskwy.

– Głupiś, bracie. Nigdy z Dymitrem nie ruszę. Chcesz, to jedź – wolna droga. Jeno nie podawaj się przy nim za Dydyńskiego, bo mieliśmy pewne – uśmiechnął się pod wąsem – scysje na drodze. W dodatku służy u niego Adam Dworycki.

– Twój serdeczny przyjaciel!

– Teraz już wróg.

– Bracie... – Jacek nie wiedział, co takiego chciał powiedzieć Przeclaw, bo nagle szabla młodszego z Dydyńskich mignęła mu przed oczyma. Tamten... Oszalał. Rzucił się na niego z bronią w rękę!

Jacek skoczył z krzesła jak szczupak uciekający z rybackiej sieci. Przeclaw nie żartował – ciął z łokcia, wręcz, chlasnął szablą płasko, tuż nad stołem. Starszy brat przetoczył się na posadzkę, zerwał szybko jak ryś, a jego ręka zupełnie sama chwyciła za szablę. Kciuk wśliznął się w paluch, palce zwały na wygiętej rękojeści.

– Schowaj broń, głupcze!

Przeclaw nie posłuchał. Wywijał prostą zygmontówką zgrabnie i szybko. Widać, że przez ostatni rok bijał się z żakami na

palcaty. Niestety, przy towarzyszu husarskim nie miał szans, bo szybkość i zwinność postawione przeciwko żołnierskiej wprawie nie wystarczyły do zwycięstwa. Jacek rąbnął wręcz, poprawił na odlew, chcąc bardziej odtrącić brata siłą ciosu, niż zranić.

A wtedy, zupełnie niespodziewanie, Przeclaw zdjął zastawę... Po prostu opuścił szablę wyprowadzoną w przód, powyżej oczu i skośnie. Jacek wrzasnął, ale nie zdołał wstrzymać ramienia. Ciął wręcz, przez czubek głowy, czoło i prawą brew, a Przeclaw wrzasnął, zatoczył się, poleciał na zydeł, potracił go i padł, ściągając ze stołu aksamitny obrus, a razem z nim dzban z winem i cynowe kubki...

Jak to zwykle przy ranach w łeb, trysnęła cała fontanna krwi, na stół, portrety, na posrebrzaną husarską zbroję, zmieniając izbę w bitewne pobojuwisko. Na ścianach obitych czerwoną materią nie bardzo ją było widać, ale Przeclaw wił się na podłodze umazany posoką jak wieprzek.

I krzyczał, wył przerażająco, przytykając obie ręce do krwawiącej blizny.

Jacek stanął nad bratem z szablą w ręku, nie bardzo wiedząc, co począć. Usłyszał, jak w głębi dworu budzi się ryk, jak z sieni i czeladnej słycać łomotanie butów, we drzwi sypią się uderzenia, a starosta nakazuje otwierać w imię prawa pospolitego...

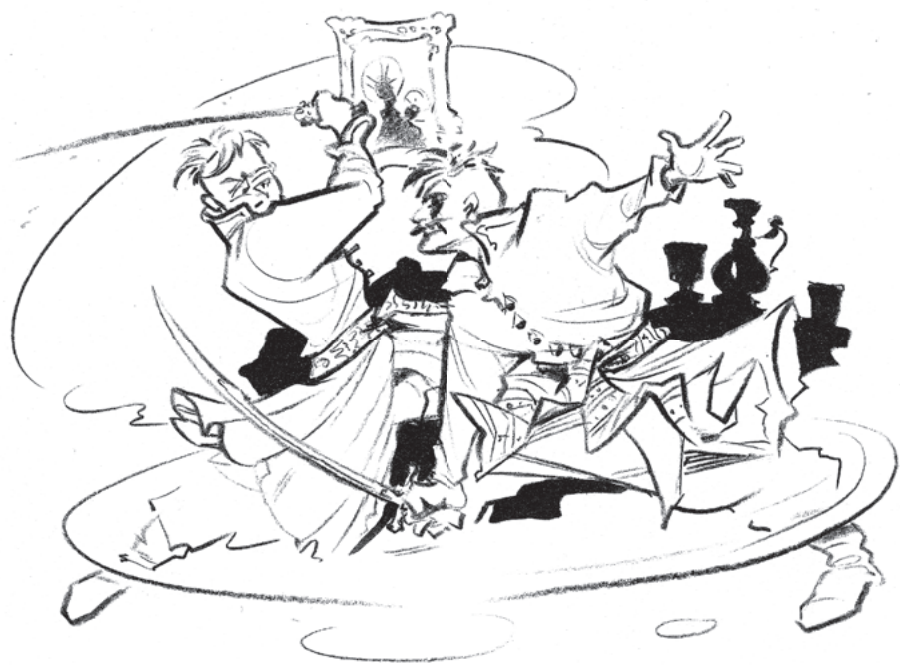
Nie poruszył się. Nie drgnął i wtedy, gdy coś ciężkiego uderzało w drzwi raz za razem, kiedy z brzękiem puścił skobel i do czerwonej izby wpadli z szablami oraz półhakami kozacy starosty.

Po prostu nie mógł uwierzyć w to, co się stało.

– Zabił mnie! – jęczał Przeclaw, dźwigany z ziemi przez ekonoma Damazego i dwóch hajduków. – Wyjął szablę! Ciął... Nie mogłem się bronić.

– Cisza, do stu piorunów! Powiedziałem: cisza! – ryczał starosta jak tur. – Zagnieść chleba z pajęczyną! Łatać! Opatrzyć!

– Chciał mnie ubić! Jacek! Mnie – jęczał spazmatycznie Przeclaw. – Jak ojciec, pozbyć się brata... Zająć wszystko... Zabrać ojcowiznę! Zupełnie jak stary... Jak ojciec Michała...



– Milcz, waszmość, wreszcie, do paralusza! – rozdarł się Piotr Oźga, nie dodając tym razem żadnego z rybeńków ani kochaneńków ani nie każąc powtarzać swych słów. – Co z nim?

– Mózg nie wyprysł, przepony nie widzę – odparł składnie ekonom, który z racji swej funkcji przyzwyczaił się już do opatrywania szlacheckich łbów porozbijanych w zwadach, sejmi-kach i zajazdach. – Goło, ale wesoło. Gorączka go chwyci i będzie leżał ze dwie niedziele.

– Opatrzcie go i do alkierza. A temu... Zabierzcie szablę!

Jacek nie bronił się. Sam oddał panią węgierkę w ręce najbliższego ze sług.

– Ja nic nie winien – rzekł powoli. – Brat podstawił się pod cios. Ja...

– Pana Jacka brać pod straż! – zarządził starosta. – I do drugiego alkierza. A teraz cisza i spokój.



swiatksiazki.pl

Kup w świecie książki